

Kazimierz Wierzyński

Laur
olimpijski





Złoty medal Kazimierza Wierzyńskiego
w Olimpijskim Konkursie Literatury i Sztuki
zdobyty na Igrzyskach IX Olimpiady
w Amsterdamie w 1928 roku

Kazimierz Wierzyński

Laur olimpijski

w 90-lecie zdobycia złotego medalu
na Olimpiadzie w Amsterdamie



Fundacja „Komitet Pierre'a de Coubertin
w Polsce”

Redaktor tomu: Krzysztof Zuchora

Skład wierszy udostępniony przez Agencję
Pandawer (Dziękujemy!)

Wydanie 3 poprawione
Staraniem Fundacji „Komitet Pierre’a de Coubertin
w Polsce”

ISBN 978-83-62045-48-8

© Wydawnictwo:

ESTRELLA Sp. z o.o.

01-812 Warszawa, ul. Szafarska 9

e-mail: druk@estrella.pl

Warszawa, lipiec 2018



Kazimierz Wierzyński
(1894 – 1969)

Słowo wstępne

Z okazji 90-lecia zdobycia złotego medalu na Olimpiadzie w Amsterdamie w 1928 roku przez Kazimierza Wierzyńskiego za tom wierszy pt. „Laur olimpijski”, przygotowaliśmy wydanie specjalne poświęcające wielkość tamtego wydarzenia literackiego, które weszło na trwałe do historii polskiego i światowego sportu i olimpizmu. Możemy na te wiersze patrzeć z perspektywy historycznej, dostrzec wtedy odwagę i oryginalność poetyckiego opisywania sportu, wyczucie rytmu, świeżość i dynamikę języka, a nade wszystko „telewizyjność” narracji, która spełnia współcześnie kryteria wysokiej sztuki, ukazującej „samotność” człowieka, maratończyka, który z pola bitwy przynosi światu wiadomość o zwycięstwie życia nad śmiercią.

Kazimierz Wierzyński w artystycznym opisywaniu sportu wysoko zawiesił poprzeczkę, zachowując przy tym dowolność stylu, wrażliwość językowej i charakteru uprawianej dyscypliny poetyckiej. Przeważnie też jego wiersze znajdują czytelników w różnym wieku i zarazem potwierdzają, że dobra sztuka oparta na wewnętrznej prawdzie moralnej nigdy się nie starzeje i zawsze może liczyć na wierną publiczność.

Korzystamy z tej okazji historycznej nie tylko po to, aby przypomnieć, że dokładnie 90 lat temu „Laur olimpijski” polskiego poety otrzymał złoty medal olimpijski w dziedzinie poezji, chociaż i ten powód byłby wystarczający do uzasadnienia nowego wydania. Kierowała jednak nami myśl głębsza, a mianowicie poczucie dumy narodowej, że dzięki Wierzyńskiemu polski sport i polska sztuka,

mówiąc obrazowo „załopotwały biało-czerwoną flagą na najwyższym maszcie”.

Oddajmy się zatem z uwagą należną wysokiej sztuce lekturze tych wierszy. Umocni się w nas poczucie wspólnoty w rodzinie olimpijskiej kultywującej związki siły fizycznej i duchowego piękna.

Wierzyński świadomie łączył odmienne, jak się wtedy wydawało natury sportu i sztuki, a robił to w taki sposób, jak w antycznej Grecji, kiedy sport i sztukę traktowano jako dziedziny pokrewne ukazujące wielkość człowieka w dążeniu do prawdy, dobra i piękna. Moralny egzamin zdawało się na wojnie, gdzie obrona ojczyzny stawiała się sprawą honorową. Wojna narzucała się ludziom jako życiowa konieczność, natomiast walka sportowa była aktem osobistej wolności.

Sport uczył się najpierw chodzić, następnie biegać, a na końcu finiszować. Również dotyczyło to języka sportowego, który z opłotków poprawności gramatycznej wyprowadził Wierzyński na olimpijski stadion, gdzie jak w antycznym teatrze Antygona powtarzała słowa Sofoklesa: „Współmitować przyszłam, a nie współnienawidzić”. I wreszcie już niejako na samym szczycie, gdzie zaciera się granica między niebem a ziemią symbolizującymi sztukę i życie, liczą się wyłącznie emocje i napięcie duchowe, które wyłamują się z wcześniejszych konwencji, podobnie jak marzenia senne, które są dramatycznym obrazem atletry ducha przekuwającego w czyn metafizyczną wolność poetyckiego słowa.

„Laur olimpijski” wszedł do naszej świadomości literackiej jako „polski Nobel”. Wyprzedził niejako w tej konkurencji Czesława Miłosza i Wisławę

Szyborską. Był prawdopodobnie Kazimierz Wierzyński najbardziej znanym polskim poetą w XX stuleciu. Dowodzi tego nie tylko liczba tłumaczeń i wydań, ale nade wszystko stała pozycja w światowym dorobku poezji sportowej, gdzie uznaje się jego „Laur olimpijski” za klasyczną miarę poziomu artystycznego opisywania sportu. W każdym zbiorze poezji sportowej wydawanym z okazji igrzysk olimpijskich drukowane są jego wiersze, dobrane w taki sposób, aby świadczyły o ich żywotności i wzbogacały zarazem lokalny krajobraz.

Ocena artystyczna samych konkursów sztuki na igrzyskach w okresie od 1912 do 1948 roku nie jest korzystna. Większość dzieł wypadło z obiegu, pojawiają się jako artefakty w katalogach olimpijskich. Jedynie wiersze Wierzyńskiego są stale czytane i recytowane przy okazji różnych uroczystości sportowych, a nawet bez tego, gdyż same przykuwają uwagę czytelnika, który odnajduje w poezji i w sporcie pochwałę niepokornego człowieka, szukającego w treningu moralnym, który każdy przechodzi, wewnętrznej prawdy o własnej „sztuce życia”, która prowadzi niezmiennie przez stulecia – od człowieka do człowieka.

Krzysztof Zuchora

Defilada atletów

Nasza pieśń nie zna waszych uniesień i wieszczień,
Inny sztandar nas wołał i na czołach legł –
My sławimy natchnienie, muskuły i przestrzeń,
Serce, co maratoński wytrzymuje bieg.

Otoczyliśmy ziemię nową panoramą
I do taktu jej nowy podajemy krok,
Idziemy drząc, jak pełne człowieka dynamo,
Tłoczące w głąb arterii gęsty, żyzny sok.

Świat uderza wraz z nami jednym pulsem rytmu,
W ramionach drzemie rozmach katapult i proc,
Z naszych mięśni wywodzi się, jak z logarytmu,
Wola w kleszczach zamknięta, wysiłek i moc.

Nasza pieśń ponad światem kołuje, jak sokół,
Nasza pieśń łączy ludy i stapia je w hart,
Nasza pieśń się, jak morze, rozlewa naokół,
Wszystkie lądy szturmuje i woła na start.

Nasza pieśń niesie hasło waszemu poecie,
Co bogom wieńce wiązał i na skronie kładł –
Podamy mu niesiony w zwycięskiej sztafecie
Laur olimpijski, znak nasz – niech zdobi nim świat.

Oddech

Wejdz we mnie wodo wonna, sucha,
Przepłucz mnie chłodnym potokiem,
Pod sercem źródło mi wybucha
Wychnieniem głębokiem.

Pluszcząc, przesącza się powoli,
Przecieka przesmyk po przesmyku,
Jest dobrze tak, że niemal boli,
Lód się roztapia na języku.

Wlewa się kąpiel, wpada w gardło,
Goni po żyłach, dudni głucho,
Powietrze wielkie się rozwarło
I spada wodą wonną, suchą.

Match footballowy

Oto tu jest największe Colosseum świata,
Tu serce żądz i życia bije najwymowniej,
Tu tajemny sens wiąże i entuzjazm brata
Milion ludzi na wielkiej rozsiadłych widowni.

Zamora wsparty w bramce o szczyt Pirenejów,
Piękniejszy niż Don Juan, obciśnięty w swetrze,
Jak dumny król, w chaosie center i wolejów,
Śledzi kulę świetlistą, prującą powietrze.

Z Uralu w bój posłaną, jak z lufy moździerza,
Trzyma w oczach i więzi, a gdy kula spada,
Jak pająk się nad dziuplą bramki rozczapierza,
Jak krzak wystrzela w niebo, człowiek-barykada.

Pocisk skacze kozłami od miasta do miasta,
Z jednej strony Moskwa, z drugiej Barcelona,
Już steruje ku siatce, już spod stóp wyrasta,
Trybuny tracą oddech, cały stadion kona.

I pokażcie mi teraz – gdzie, w jakich teatrach
Milion widzów wystrzeli takim wielkim głosem:
Zamora, lecąc w górę, jak żagiel na wiatrach,
Za Atlantyk wybija piłkę jednym ciosem!

Widownia oszalała, krzyczy, bije brawo,
Półkole trybun płonie niczym aureola,
I jak wielka tęsknota za zwycięską sławą
Tętni okrzyk stadionu: gola, gola, gola!

100 m

Każdy muskuł się zwinął w kłębek, jak sprężyna,
I na cięciwie ciała niecierpliwie drży,
Motor serca już w uszach walić mi zaczyna,
Gotowe! Starter, strzelać! Raz – dwa – trzy!

Ach – stopy już poderwał alarmowy sygnał,
Klin powietrza się w gardło aż do bólu wbił,
Galop ruchu mnie poniósł, oddech z piersi wygnał
I z wszystkich żył pompuje coraz więcej sił.

Burza kroków mych teraz zniszczy cię, rozgniecie,
Milionem razów zgnębi, nim dojdiesz do stu –
Przestrzeni nienawistna! – rozpięta na mecie
Białym pasmem, co krzyczy, że to jest już tu.

Ostatnim jeszcze susem dopaść cię drapieźnie,
Z taśmą na piersiach poczuć się lekkim, jak puch,
I z uśmiechem cię w sercu pomieścić, jak bieźnię,
Jak treść twą tajemniczą, nieustanny ruch.

Paddock i Porritt

Jeden ma ręce-wiatraki, drugi wiosłuje stopą,
Jeden jest ludzkim kangurem, drugi jest antylopą.

Jeden jak tank się trzeszczący z boku na bok przewala,
Drugi dmuchnięty powiewem sunie lekko, jak fala.

Jeden celuje do mety, wpada w nią jak torpeda,
Drugi pod pływa do taśmy, wyminąć mu się nie da.

Jeden jest w pędzie maszyną, żywą, silną i młodą,
Drugi jest samą szybkością, prawem ruchu, przyrodą.

Skok o tyczce

Już odbił się, już płynie! Boską równowagą
Rozpina się na drzewcu i wieje, jak flagą,
Dolata do poprzeczki i z nagłym trzepotem
Przerzuca się jak gdyby był ptakiem i kotem.

Zatrzymajcie go w locie, niech w górze zastygnie,
Niech w tył odrzuci tyczkę, niepotrzebną dźwignię,
Niech tak trwa, niech tak wisi, owinięty chmurą,
Rozpylony w powietrzu, leciutki jak pióro.

Nie opadnie na siłach, nie osłabnie w pędzie,
Jeszcze wyżej się wzniesie, nad wszystkie krawędzie,
Odpowie nam z wysoka, odkrzyknie się echem,
Że leci prosto w niebo, jest naszym oddechem.

Fanfara

na cześć Karola Hoffa
rekordzisty w skoku o tyczce

Skok twój jest wodotryskiem,
skok twój jest białą fontanną,
Gdy nad poprzeczką lecisz,
jesteś uśmiechem i panną.

Płyniesz na złotej wieży,
na maszcie się najwyższy wspinasz,
Co ty tam na górze widzisz,
w gnieździe bocianim marynarz?

Jakie cię skrzydła wzbiły,
jakie pegazy powiozły,
Że, niczym gołąb lekki,
w powietrzu wywracasz kozły!

Ziemia dzidą przebita,
czy tam się na bok przechyla,
Tyczka czy leci z tobą,
i rośnie, jak kampanila?

Niebo w hamaku buja,
na dół przekrzywia się księżyc,
Czy ci tego za mało,
kogo chcesz jeszcze zwyciężyć?

Cztery metry dwadzieścia,
dwadzieścia pięć i pięćdziesiąt,
Kto wie – a może tysiąc
potrafisz skoczyć za miesiąc?

Ach, ty mewo północna,
w wysokich wylęła fiordach,
Jak po drabinie skaczesz,
po wszystkich świata rekordach.

Jak fanfara zwycięska,
po niebie hulasz rozwartem –
Boska to rzecz być pierwszym
i bawić się takim żartem.

Erminio Spalla

Erminio mógłby dźwigać na piersiach kolumny
Erminio jest, jak kościół, polotny i dumny,
Każdy ruch opanował, każdy kształt rozumie,
Rozpiera się jak nawa, trwa jak spokój w tumie.

Lekko w sobie rozpięty harmonią kopuły,
Zamiast rzeźb artystycznych ma żywe muskuły,
W ramionach obrót śmigła, krzyk sępa
nad głową,
Jak kuglarz, popisuje się swoją budową.

To jest ten bożek smagły, anioł, co na wieży
Rozrzuca na bok skrzydła i pod niebo mierzy,
To jest ten tancerz świata co stanął po drodze
I znad szczytu odbija się na jednej nodze.

To strzała wypuszczona z pierwszego szeregu,
By, szumiąc w chmurach, gwiazdy prześcignęła
w biegu,
To silny człowiek, champion, mistrz i entuzjasta,
Patrzcie jak on oddycha, jak się glob rozrasta!

Panie na start

Woła nas trąba grająca
i ostry woła nas dzwonek,
Biegniemy, siostry dziewicze
spartanek i amazonek.

Ręce do góry podniósłszy,
wysmukłość przydając biodrom,
Skokiem jelenic biegniemy
przez zachwycony hippodrom.

Nagość ciał naszych jest korą,
jędrnego, ścisłego drzewa,
W piersiach się naszych jak w dzbanach
krew mleka przyszłego przelewa.

Nogi, nadzieję miłości
i tajemnicę kochania,
Bez-wstyd nasz triumfujący
przed oczy wszystkich odłania.

Bierzcie nas, silni efebi,
w mocy swej nieutrudzonej,
Do ramion waszych biegniemy,
dziewicze wasze i żony.

Do mety swej – urodzaju,
by powić wam nową ziemię,
Spartanki i amazonki,
zwycięskie, radosne plemię.

Nurmi

Krok mój jest marszem tanecznym,
krok mój, jak serce, uderza,
Jestem zegarem oddechu,
płynę w powietrzu, jak wieża.

Rytm mój zespala się z ziemią,
dźwięcząco bije w nią stopą,
Biegnę przez świat naokoło,
Ameryką i Europą.

Ruch mój za ruchem nastaje,
w ruchome koło się zmienia,
Jestem zegarem wysiłku,
jestem rekordem natchnienia.

Skokiem przesadzam trybuny,
mijam krzyzące stadiony,
Niesie mnie wiatr moich skrzydeł,
wiatr wielki i niezmożony.

Skanduję tempo i wzmagam,
przechodzę już do finiszu,
Powiedzcie tym tłumom ludzi –
niech zmiłkną, niech się uciszą.

Nie chcę żadnego zwycięstwa,
nie chcę ich braw, ani krzyku,
Chcę przerwać taśmę i spocząć
na starym, greckim pomniku.

Spartanin

Drobna garsteczka człowieka
w trudzie się wielkim przesila,
Z nóg setki kroków wyrzuca
i setki oddechów z płuc,
Na bieżni kręci się wkoło
wielka za milą mila,
Jakież olbrzymie zmęczenie
trzeba na drodze tej zmóc?!

Trzeba to serce szalone,
co skacze z piersi do gardła,
Ścisnąć i zdusić, jak w garści,
i trzymać tysiącem rąk,
Trzeba tę zgubę, co czyha,
co wkoło się rozpostarła,
Spętać, oplątać i związać,
omotać, omotać w krąg.

Płuca niech oddech wypłują,
niech z piersi, jak kamień spada,
Stopami trzeba, jak nożem,
przeźrenie przekłętą sieć,
A w uszach dzwoni już pogoń,
z tyłu już brzmi galopada,
Wzbiera i rośnie, jak przyptyw,
i huczy, jak wielki wiec.

Nie traćcie teraz na próżno
ani okruczu sekundy, Każdy
ułamek ma wagę
ołowiu i ciężkich brył,
Zbliżamy się do finiszu,
do piekła ostatniej rundy.
Wątki człowieku, wybieraj!
Czy masz jeszcze tyle sił?

O bracie, wielki zwycięzco,
czy tchu ci jeszcze wystarczy,
Chwiejesz się w nogach podcięty,
kołyszysz, jak śmieszny bąk,
I padasz – padasz na bieżni,
na twardej, spartańskiej tarczy!

.....

Zbyt ciężko na niej cię podnieść!
Zabrakło tysiąca rąk!

Dyskobol

Rzut mój w rozwartej zaczyna się dłoni,
Rzut mój się kończy nie wiadomo gdzie,
Dysk, niby dukat połyskliwy, dzwoni
Poza światami, za metami, w mgle.

Dysk mój upada na ziemię, i dźwięczy,
I znów się zrywa i wykreśla łuk,
To serce skute w złocistej obręczy
Tętni i bije i przyspiesza stuk.

Z placów na place jak pstrąg się przerzuca,
Jak lotne przęsło, jak skaczący most,
Rzut, który światom wyolbrzymia płuca,
Który wymierza gwiazdom wielkim wzrost.

Rzut, który miarę wytkniętą już przerósł,
Minął granice i wzbił się, jak duch,
Rzut ten mam w dłoni – dyskobol i heros,
Ja, który wszczynam niewstrzymany ruch.

Bieg na przelaj

Co to za stado wspaniałe
w powietrzu przesiewa się lśniącym –
Dwie nogi mnożą się w biegu,
gęstnieją i są już tysiącem.

To renifery spłoszone,
racice żrebięce i skoki,
To tupot, werbel na alarm
odbija się w ziemi głębokiej.

Telegrafuje do środka,
donosi szyfrem tajemnym,
Kropkami dreszczu przebiega
po wielkim kolosie podziemnym.

Wydyma się ziemia wieścią,
przestrzenie otwarte rozplata,
Pod racicami – nogami
drży masa bezkształtna praświata.

Podbija stopy tysięczne,
pomnaża je przez miliony,
Niech pędzi świat, jak karuzel,
na swojej elipsie szalonej!

Niech huczy, bębni na alarm,
niech w pościg się wieczny rozpęta!
Co to za stado wspaniałe!
Pół-bogii! Pół-ludzie! Zwierzęta!

Pieśń o Amundsenie

Cóż donieść wam o sobie, którzy późną nocą
Przed oknami redakcyj bezsennych stoicie
Z lękiem w oczach pytając się o moje życie,
Bładzi ludzie – niepewni gdzie lecę i po co?!

Dni moje są do waszych podobne i biegną
Tak samo nużąc, dręcząc, mijając bez przerwy,
Spotykam ślady ludzkie – kości i konserwy –
Na wielkim, nieskończonym oceanie śniegu.

Szły tu przede mną długie ongi karawany,
Szlak ich co krok się gubi i sprzed oczu znika,
Sztynną ręką marznących pątników pisany
Mój los jest na ostatniej karcie pamiętnika.

Rozejdźcie się do domów, dziś depeż
nie będzie,
Mnie ziemia wasza męczy i ciąży, jak ołów,
Chcę być sam, mnie wystarczy to śmigło
w rozpędzie,
Co huczy, gra i szumi, jak koncert aniołów.

Ja jestem inżynierem, co na lotnej wieży
Niezmierzone parcele świata mierzy,
Granicę w smudze dymu za motorem niesie
I czarny pas zarzuca, jak lasso, w bezkresie,
Wiąże linią spiralną, zbija w supel twardy:
Tutaj stać będzie pomnik sławy i pogardy,

Tu na tym cyplu stromym, na ostatniej stacji,
W sercu bieguna wbiję punkt triangulacji.

To jest fantazja moja – los i przeznaczenie,
To przekleństwo, którego niczym nie odmienię:
Na tym stepie bezbrzeżnym, pod niebem
wysokim,
Rzucać na siebie własnym, okrutnym wyrokiem,
Na szaniec śnieżny miotać płonące kamienie!

I to jest miłość moja, która w dal mnie pędzi,
Ja jestem meteorem na świata krawędzi,
Odchodzę i powracam, i wśród nocy czarnej
Połyskam niebem mojej ojczyzny polarnej,
Płonę, jak szyb ognisty, gejzer latający,
Spalam góry lodowe w mojej lawie wrącej,
Z tych Alp wiecznego śniegu rąbię złom
po złomie,
Całe archipelagi roztopiam w malstromie,
Mój war kipiący lądy wystygłe oblata,
Grzeję glob, komin Boga, kaloryfer świata.

A jeśli gasnę, blednę, i astralna łuna
Rozpierzcha się nękąca wśród nocy bieguna
Na białym stepie ziemi i pod czarnym nieba –
Wtedy mi żadnej ludzkiej pomocy nie trzeba,
Nie nakarmi mnie żywność, nie wesprą ramiona,
Zstępuję wtedy z statku, wtedy we mnie kona,
Niby ostatnia smuga światel borealnych,
Serce najbardziej ludzkie – z wszystkich
sił fatalnych.

Cóż mi wówczas zostaje, niż z mej radiostacji
Wysyłać wam depesze przed okna redakcyj,
Donosić o pomiarach, o pomyślnym wietrze,
O mrozach i o burzach, mgle i barometrze,
O powrocie, o drodze, co mnie jeszcze czeka
Z szańca, ze stosu mego, na dół, do człowieka.

Lecę wtedy oślepy śnieżystą kurzawą,
Pomniejszony o świat wasz, przybity mą sławą,
Skrzydłami nad stolicą szumię znużonemi,
Ostatni łuk zataczam i siadam na ziemi,
By tu wśród waszych krzyków, wśród braw
i wiwatów,
Bezradny stać i niemy, jak trumna
wśród kwiatów,
I – zamykając oczy – powoli w krąg głowy
Owijać chwałę straszną, jak wieniec cierniowy.

Gaj Akademososa

Liliowy wachlarz zmierzchu, wiatrem poruszany,
Chłodzi niebo i ziemię pod płaszczem wieczora,
Drzewa są jakby miodem napelnione dzbany,
Park – dymiąca błękitnym zapachem amfora.

Noc nadejdzie tu niczym słodycz po znużeniu,
Rozmiecie w gwiazdach drogę pod szlak
Wielkich Wozów,
Do wszystkich spraw przemówi cicho,
po imieniu,
Księżyc, lampa mądrości, spokojny filozof.

Powie, że lata miną, jak jego odmiana,
I przyjdą znów w słonecznym płynące systemie,
Z miechów olbrzymich wieczność dmie
niepowstrzymana
Dzierżąc na swym oddechu rozpędzoną ziemię.

Oto jest podróż wielka początku i końca,
Pośród planet rozpięta na kole transmisji,
Człowiek, istota boska i triumfująca,
Nad światem, jak tablica z drogowskazem wisi.

Na monumencie swoim w górę wzniosł ramiona,
Pod stopami ma ziemię, na rękach niebiososa,
Prowadź nas, mistrzu żywy! Cisza niezmqcona
Niech nam ten park zamieni w Gaj Akademososa.

Champion of poetry

Kazimierz Wierzyński przybył do Amsterdamu, by odebrać nagrodę w konkursie literackim. Wprawdzie igrzyska dobiegały końca, ale dla niego wszystko było nowe. Oszalała go atmosfera stadionów i różnorodny gwar panujący w wiosce olimpijskiej. Jest stremowany, jak zawodnik na starcie, mimo tego, że wie, iż wygrał konkurs poezji. Nabyta wcześniej rutyna w spotkaniach z publicznością w kawiarni „Pod Picadorem” jednak zawodzi, ponieważ sama olimpiada jest wydarzeniem wyjątkowym. Mistrz olimpijski jest wiecznym debiutantem. Przeżywa emocje równie głęboko, jak podczas swego debiutu poetyckiego sprzed dziesięciu laty, kiedy w witrynie księgarni Jakuba Mortkowicza zobaczył swój pierwszy tomik wierszy „Wiosna i wino”. Rozpierała go wtedy duma i paraliżowała niepewność: „Cały mój debiut – wspominał – to było więcej strachu niż radości (...) chyłkiem przemykałem się po ulicach, załękniony, że znajomi mnie wyśmieją i bardzo niepewny siebie. Nie powiem oczywiście, że były to dręczące tortury, niemniej w nowej skórze niejako oficjalnie upieczonego poety, czułem się niewygodnie”.

Równie głęboko przeżywał swój start olimpijski. Męcząca była zwłaszcza pierwotna niepewność. Konkursy sztuki rozgrywano w tajemniczej aurze. Nie wiadomo było, ilu artystów zgłosiło swoje dzieła, ani to, kto je będzie oceniał. W wypadku autora „Lauru olimpijskiego” niepewność dotyczyła także niemieckiego przekładu. Tłumacz musiał się spieszyć, ponieważ termin zgłaszania prac konkursowych był krótki. Znajomi poety, którzy sami

pisywali po niemiecku i tłumaczyli z niemieckiego na polski, zapewniali go jednak, że przekład jest bardzo dobry. Miał więc nadzieję, że w olimpijskiej grze poetyckiej „Laur olimpijski” zostanie zauważony.

Na szczęście wszystko skończyło się dobrze. Warszawę obiegła wiadomość, że Kazimierz Wierzyński otrzymał złoty medal w dziedzinie poezji, natomiast Władysław Skoczylas medal brązowy w malarstwie za cykl akwarel. Mitologizujący wpływ igrzysk olimpijskich ogarnął sztukę. Dobrze znane wcześniej dzieła przyjmowano teraz z wielkim entuzjazmem. Nawet powściągliwy w ocenach „Tygodnik Ilustrowany” pisał w sportowym stylu: „Brawo Wierzyński! Brawo Skoczylas! Dzięki wam sztuka polska zamigotała nowym blaskiem w obliczu wszystkich narodów! Dzięki wam, dzięki waszej sztuce, znowu uczczono biało-czerwoną flagę na międzynarodowej arenie!”

Patos, którego w sztuce należy unikać, nagle był w dobrym guście. Sztuka porzuciła zacisze salonów i wyszła na ulice. Zaczęła konkurować z polityką i sportem. Poeta i malarz stali się bohaterami narodowymi. Dzięki nim świat dowiedział się na olimpiadzie, że Polska wybiła się na niepodległość i prędko nadrabia zapóźnienia z okresu niewoli. Władysław Skoczylas w „Przeglądzie Sportowym”, redagowanym wówczas przez Kazimierza Wierzyńskiego pisał: „Wszystkich pociąga i nęci ogromny rozgłos, jaki daje zwycięstwo olimpijskie, rozgłos nie do pomyślenia na wystawie czysto artystycznej.”

Wierzyński przywiózł Halinie Konopackiej, w przeddzień jej startu w finale rzutu dyskiem 31 lipca, bukiet róż od jednego z przyjaciół. Wszystko układało

się normalnie, dopóki przebywał wśród ludzi sportu. Miał poczucie, że „Laur olimpijski” daje radość innym. Entuzjastycznie był witany przez Polaków mieszkających poza krajem. Wystarczyło, żeby na afiszu ukazała się informacja o spotkaniu z „Champion of Poetry”, a publiczność zappełniła salę do ostatniego miejsca. Magia igrzysk przemieniła się w magię sztuki.

Zaraz po nagrodzie „Laur olimpijski” zostaje przetłumaczony na kilka języków: francuski, włoski, rosyjski, bułgarski i hebrajski. Podkreślano w recenzjach, że poeta wywołuje wizje człowieka niepokornego, który z niepewnej gry o przemijające wartości uczynił sens życia. Bohaterów bieżni i ringu ukazuje jako antycznych herosów, a stadion porównuje do gigantycznego teatru, w którym zdarzyć się może farsa, komedia, dramat i tragedia. Artyzm tej poezji sprawia, że poprzez realność sportu prześwieca duch metafizyki. „Laur olimpijski” jest apoteozą człowieka wskazującego światu nowe drogi rozwoju, a nade wszystko własnym przykładem potwierdza, że sport otwiera przed sztuką rozległe horyzonty.

W kraju początkowy entuzjazm szybko się wyciszył. Wierzyński nie ukrywa swego rozczarowania. Fenomen sportu nie zwrócił uwagi kolegów po piórze. W środowisku artystycznym Warszawy krążyła opinia, że Wierzyński jest najlepszym poetą wśród sportowców i najlepszym sportowcem wśród poetów. Raz jeszcze okazało się, że najtrudniej być prorokiem we własnym kraju. Wspominał po latach: „Gdzie indziej było inaczej. Z obcych Henry de Montherlant i Bertolt Brecht mieli zrozumienie urody i społecznego znaczenia sportu, u nas nurt jego płynął jakby bocznym korytem.”

A on sam jak ocenia własne wiersze sportowe? Na podstawie „Pamiętnika poety” należy sądzić, że „Laur olimpijski” i związane z nim okoliczności były dla niego bardzo ważne. Poświęca tym sprawom równie wiele miejsca, jak wierszom o Józefie Piłsudskim, którego uważał za ostatniego romantyka w dziejach Polski. W komentarzu do „Wolności tragicznej” pisał: „Dwadzieścia jeden lat, które potoczyły się od wymarszu Legionów do tej śmierci za żelaznym ogrodzeniem zmieniły wiele we wszystkich Polakach. Nawet dla tych sprzed 1914 roku Polska przestała być religią, a poświęcenie dla niej w niczym nie przypominało snów romantycznych. Nie zmieniło się tylko jedno: wygodna zgoda, aby ktoś robił wszystko za innych, leniwy i odwieczny błogostan, że można się schronić pod wielkie brwi i tam zażywać spokoju.”

„Wolność tragiczna” była nie tylko hołdem złożonym Naczelnikowi, ale przede wszystkim najgłębszą troską o dalsze losy odrodzonej ojczyzny. Ten niewielki tom, zawierający 18 wierszy pisanych w różnym czasie, Wierzyński uważał za dzieło życia. Wprawdzie miłość do sportu nie miała tak głębokiego wpływu na życie poety, ale wracał do tego tematu bardzo często. Wspominał, że sport pojawił się w jego wierszach jak podróż spełniająca młodzieńcze marzenia, jak „żywa przyjemność”, o której w każdej godzinie można powiedzieć: „Ty jesteś mą młodością, mym snem o potędze.”

Sens poezji polegał wtedy na jawnym i bezpośrednim wyrażaniu uczuć z możliwie maksymalną ekspresją. „Należeliśmy do pokolenia zwycięstwa, a nie do pokolenia klęski” – powie poeta. Gwałtowne emocje domagały się dobitnego wyrazu

i nowej wiary w słowo. Wiersze sportowe powstawały pod jego piórem szybko i były utrzymane w poetyce „Wiosny i wina”: „Bo która gra jest od życia piękniejsza i szczęśliwszego cóż jest ponad życie”. Pamiętajmy jednak, że tak właśnie myślał ktoś, dla kogo „całe życie jest poezją”.

Pisał niejako w locie i patrzył z wysoka. Orientował się według słońca i księżyca. Marzenia miał podsyte wiatrem. Bawił się słowem, ale zarazem traktował życie jako „najpiękniejszą grę”. Wierzyński wyznaje proroczą filozofię, że poezja jest jedynie echem powtarzającym „wołanie życia”.

*„Dziś gra się słońcem football match ogromny,
Bóg strzela gole – po ludzku wspaniale,
Dziś skok na ziemię z nieba karkołomny,
Cesarskie cięcie i salto mortale,”*

„Laur olimpijski” w zamyśle Wierzyńskiego miał być czymś więcej niż samym przeglądem różnych konkurencji sportowych. Bohaterem tych wierszy nie jest sport jako zjawisko kultury, dawne z ducha, lecz nowe w formie, ale człowiek porzucający mieliznę życia na rzecz gry i spotkania z innymi równie silnie jak on przejawiającymi wolę mocy. Kimś takim był dla Wierzyńskiego zdobywca bieguna północnego, który przekleństwo samotności symbolizowanej bezkresem śnieżnego pola przemienił w religię piękna, rozgrzewającą zziębnięte serce. Wierzyński napisał „Pieśń o Amundsenie” jako pochwałę „doskonałego indywidualizmu”. Głosił, że nigdy, a więc także na mecie największych osiągnięć twórczych „nie ominie człowieka poczucie samotności” i że nic nie uchroni go przed tą świadomością, jakże niekiedy tragiczną.

Zajmiemy się jeszcze określeniem czasu powstania wierszy włączonych do tomu „Laur olimpijski” nagrodzonych w 1928 roku na Olimpiadzie w Amsterdamie. Były to dla Polski piękne igrzyska uświęcone dwoma złotymi medalami. Wydarzenia te łączy coś więcej niż przypadkowa zbieżność miejsca i czasu. Wierzyński chętnie przyznaje się do swych młodzieńczych związków ze sportem. Odnosił jako bramkarz spore sukcesy w piłce nożnej. Biegał na 100 i 200 metrów. Był wytrwałym turystą i zamiłowanym krajoznawcą. Doświadczenia te widoczne są w jego wierszach. Znajduje dla nich właściwą formę i niepowtarzalny rytm obrazów następujących po sobie jak na filmie:

*„Świat uderza wraz z nami jednym pulsem rytmu.
W ramionach drzemie rozmach katapult i proc.
Z naszych mięśni wywodzi się jak z logarytmu
Wola w kleszczach zamknięta, wysiłek i moc.”*

„Defilada atletów”

Halina Konopacka pisała wiersze, malowała obrazy, interesowała się muzyką. Występ Konopackiej w finale rzutu dyskiem uznano za najważniejsze wydarzenie olimpiady w Amsterdamie. Pisano, że narodziła się gwiazda. Obwołano ją „Miss Igrzysk”. Nawet niemieckie gazety niezadowolone z porażki swoich reprezentantek pisały o Konopackiej z podziwem, podkreślały, że ma „wspaniałą nerw sportowy i wspaniałą ambicję”. Doskonale warunki fizyczne, uroda i wdzięk, a także sposób zachowania się na boisku czynią z niej „najdoskonalszy z typów fizycznych w sporcie współczesnym”. Konopacka dowiodła niezbitie, że lekkoatletyczny debiut na olimpiadzie raz na zawsze usuwa wątpliwości dotyczące udziału kobiet w igrzyskach.

Nasza złota medalistka olimpijska w 1929 roku wydała tomik wierszy pt. „Któregoś dnia” dobrze przyjęty przez środowisko literackie. Zauważył jej debiut Antoni Słonimski i w charakterystyczny dla siebie sposób określił jego literackie wartości. Ubolewał, że młoda, dobrze zapowiadająca się poetka porzuciła poezję dla rzucania nikomu niepotrzebnym dyskiem. Rezolutnie odpowiedziała mu Halina, że do pisania wierszy i do rzucania dyskiem konieczne jest natchnienie – *con amore*, bez tego, ani poezja, ani sport nie mogą istnieć.

Spotkanie obojga bohaterów igrzysk w Amsterdamie ugruntowało polski olimpizm w ścisłym związku sportu i sztuki. Na tym fundamencie w postaci „szklanego domu” budujemy program edukacji olimpijskiej ukazujący humanistyczny wymiar naszego sportu.

„Laur olimpijski” ukazał się w 1927 roku. Wierzyński wspomina, że wiersze wysłał dwa lata wcześniej. Możemy więc ustalić, że wiersze powstawały w drugiej połowie 1924 i w całym 1925 roku. Poeta opisując historię poetyckiej przygody ze sportem, trzyma nas w niepewności. Na pytanie o początki odpowiada: „Właściwie nie wiem, kiedy napisałem »Laur olimpijski«. Sam się napisał. Nie miałem planu odrębnego cyklu, pisałem, kiedy wiersze przychodziły mi pod pióro i odkładałem je na bok.” Niemniej jednak coś pamięta, a mianowicie, że pierwszy był wiersz „Nurmi”.

Fiński biegacz Paavo Nurmi zdobył pięć złotych medali na Olimpiadzie w Paryżu. Okrzyknięto go herosem stadionów. W jednym dniu 10 lipca 1924 roku odniósł dwa zwycięstwa. Najpierw został mistrzem olimpijskim na 1500 m, a trzy kwadranse później zwyciężył na 5000 m. Wierzyński podaje

z dokładnością do jednej dziesiątej sekundy wyniki na obu dystansach, które były zarazem rekordami świata. W wyścigu biegacza z czasem widział wyraz heroizmu człowieka kultywującego ciągłość europejskiej tradycji od antyku po współczesność.

Dzięki zwycięstwom olimpijskim i rekordom świata Paavo Nurmi zdobył światowy rozgłos. Młodzież ścigała się na podwórkach, w parkach i na podmiejskich błoniach, a każdy chciał być Nurmim. Jego imieniem nazywano konie wyścigowe. Pojawiły się papierosy marki „Nurmi”. Był portretowany na znaczkach pocztowych. W 1925 roku odbył tournée po Stanach Zjednoczonych, które trwało 63 dni. Biegał 55 razy i odniósł 53 zwycięstwa. Wszędzie podziwiali go tysiące ludzi. Nie podpisał jednak żadnego czeku. Amerykanie w rewanżu za jego wizytę udzielili Finlandii wielkiej pożyczki. Kiedy wrócił do domu artysta Wäinö Aaltonen wyrzeźbił i odlał z brązu jego posąg. Był pierwszym nowożytnym sportowcem, któremu za życia, jak w antycznej Olimpii wystawiono posąg.

Wierzyński nie był jednak tak uważnym obserwatorem sportu, jakby można sądzić na przykładzie wiersza o Nurmim, któremu jako pierwszy poeta na świecie wystawił pomnik trwalszy od spiżu, przenosząc go na stałe do wiersza. Podziw dla biegacza fińskiego jest zrozumiały. A poświęcony mu utwór doskonały w formie. Wątpliwości nasze budzi jednak opinia poety o debiucie Polski na igrzyskach w Paryżu, o których pisał: „W Antwerpii Polacy nie wzięli udziału, zajęci wojną z Sowiecami, w Paryżu wzięli, ale nie odegrali żadnej roli.”

Tymczasem w Paryżu polska czwórka kolarzy wywalczyła srebrny medal zdobyty w bezpośrednim pojedynku z Amerykanami. Drugi medal brązowy

na tych igrzyskach zdobył Adam Królikiewicz w konkursie skoków na koniu Picador. Doprawdy, nie wiem, jak poeta należący do grupy Skamander spotykającej się w kawiarni „Pod Picadorem” mógł przeoczyć taką zbieżność nazw. Kawalerzysta na pegazie, co za metafora. Na afiszu „Pod Picadorem” Antoni Słonimski właśnie w roli jeźdźca sportretował Kazimierza Wierzyńskiego.

W kraju o kolarzach i jeźdźcach mówiło się głośno, były to wtedy nasze narodowe sporty. Zalety roweru wychwalili już wcześniej Bolesław Prus i Henryk Sienkiewicz. Jeźdźcom zaś patronował Józef Piłsudski, któremu Wierzyński poświęcił najlepsze wiersze. W 1926 roku nasi jeźdźcy w Nowym Jorku zwyciężyli w Pucharze Narodów. Wiwatowała Polonia amerykańska widząc pierwszy raz w życiu polskich kawalerzystów i polskie konie w glorii zwycięstwa. Ożyły uczucia do starej ojczyzny. Dziesięć tysięcy widzów urządziło naszym oficerom taką owację, jakiej nowojorska publiczność sportowa dotąd nie przeżyła.

To, że nie ma tych wydarzeń w wierszach Wierzyńskiego, można tłumaczyć tym, że sukcesy kawalerzystów wypadły w okresie, kiedy „Laur olimpijski” leżał już w drukarni. Poeta mieszkał w Warszawie przy Placu Trzech Krzyży niedaleko Agrykoli. Tam zobaczył po raz pierwszy zawody sportowe pań. Uległ urokowi młodości, objawionego piękną odsłoniętego ciała, wystudiowanego ruchu, instynktownego pragnienia miłości, dojrzewającej do macierzyństwa. Poświęcił im wiersz pt. „Panie na start”, skierowany w przyszłość.

Gdyby przychodził do Agrykoli w drugiej połowie 1926 roku spotkałby wtedy muzę pasującą do wiersza „Dyskobol”. Halina Konopacka już wtedy

pobiła rekord świata w rzucie dyskiem i pisała wiersze utrzymane w poetyce skamandrytów. Jedno i drugie robiła naturalnie i pięknie.

W „Laurze olimpijskim” są za to inne gwiazdy światowego sportu, które umieszcza Wierzyński w swojej konstelacji, kierując się olimpijską dewizą *citius, altius, fortius* – szybciej, wyżej, silniej. Wzorem szybkości byli dla niego dwaj sprinterzy amerykańscy – Paddock i Porritt. Często występowali razem, chociaż reprezentowali różny styl. Jeden robił wrażenie żywej maszyny popędzanej emocjami, wierzył w skuteczność działania, drugi płynął w powietrzu, jakby bez wysiłku, symbolizował naturalne piękno. Bardziej znany był Charles Paddock, mistrz olimpijski i rekordzista świata. Największy rozgłos przyniósł mu jednak „rzut na taśmę” fascynujący widzów na wszystkich stadionach.

„Fanfara na cześć Karola Hoffa” rekordzisty świata w skoku o tyczce przywołuje obraz Ikara. Sport jest bowiem zmaganiem człowieka z własnym ograniczeniem. Wspina się wyżej i wyżej, jakby sięgał do nieba, a tymczasem ledwie przekracza granice własnej wyobraźni.

Norweski skoczek Karol Hoff jako pierwszy w skoku o tyczce pokonał wysokość czterech metrów. Zdobył uznanie w oczach poety i doczekał się osobnego wiersza. Sztuka bowiem podobnie jak sport wyrasta z życia, lecz zarazem przenosi człowieka w krainę mitu.

W „Skoku o tyczce” również sam Wierzyński przekroczył granicę artystycznego opisywania sportu. Znaną tylko sobie magiczną sztuką słowa sprawił, że nierzeczywisty świat staje się potężniejszy od świata realnego. Marzenia wykraczają poza

autentyczność. „Człowiek tworzy cuda, dyryguje marzeniami jak Prospero”.

Kazimierz Wierzyński ustanowił własny rekord świata w poetyckim opisywaniu sportu. Pragnął, aby dokładność obrazu w metaforze nie przesłaniała otwartości uczuć, ażeby doskonale rzemiosło było podporządkowane temu, co dzieje się pod piórem i dokąd ono podąża, lecz chciał także, aby trudności techniczne przenikała radość tworzenia, a opór słowa podniecał do wysiłku. Jeśli sztuka nie zaistnieje w historii sportu, wówczas również historia sportu stanie się bezimienna.

Uważał, że dobrym poetą jest się wtedy, gdy sugestywnie wyraża się to, co się chce wyrazić. Z rozeznania wewnętrznego rodowodu i prawdy wzruszenia wynika „moralność wiersza”, która powoduje, że „słowo nie jest tylko dźwiękiem, lecz wołaniem zranionego serca”. Wtedy też dopiero objawia się prawda stadionu w zwierciadle sztuki.

Swój najważniejszy mecz poetycki rozegrał Kazimierz Wierzyński w Europie, ale bramki ustawił tak, że z jednej strony była Moskwa, z drugiej Barcelona. W roli bramkarza obsadził Ricardo Zamorę, wspaniałego zawodnika hiszpańskiego o „magicznych rękach”, który swoją sławą przyćmił nawet torreadorów.

Zamora był bohaterem nowego typu. Wychodził na boisko ubrany na czarno, w śnieżnobiałych ochraniaczach na kolana i żółtych rękawicach. Poruszał się z prowokującą niedbatością i spokojem drażniącym przeciwników. Z niewymuszoną swobodą przyjmował najmocniejsze strzały. Doskonale grał na przedpolu bramki. Był wysoki, inteligentny i demonstrował duży talent aktorski.

*„Zamora wsparty w bramce o szczyt Pirenejów,
Piękniejszy niż Don Juan – obciśnięty w swetrze,
Jak dumny król w chaosie center i wolejów,
Śledzi kulę świetlistą, prującą powietrze.*

*Z Uralu w bój postaną, jak z lufy moździerza.
Trzyma w oczach i więzi – a gdy kula spada.
Jak pająk się nad dziuplą bramki rozczapierza,
Jak krzak wystrzela w niebo – człowiek barykada.*

*Zamora, leci w górę, jak żagiel na wietrze,
Za Atlantyck wybijają piłkę jednym ciosem.”*

Dzisiaj te śmiałe porównania poetyckie i parable odczytujemy z łatwością. Mamy za sobą długotrwały trening telewizyjny. Widzimy grę na zwolnionych obrazach i wielokrotnie powtarzanych. A nade wszystko doznajemy na żywo wrażenia, że piłka wybita w Barcelonie rzeczywiście leci za Atlantyck.

Ileż porównań narzuca się przy okazji mistrzostw świata w piłce nożnej w Rosji w 2018 roku, w których sztuka słowa teatralizuje przestrzeń. Obraz sportu autor „Lauru olimpijskiego” tworzył w przekonaniu, że człowiek jest z natury istotą tryumfującą, że swym oddechem przynagla Ziemię do szybszego biegu, ale siebie samego widział w roli rozbitka, skazanego przez los na wieczną tułaczkę. Daleko od ojczyzny.

Nie trzeba przeto się dziwić, że również piękno jego wierszy sportowych przenika egzystencjonalny smutek. Tak pisał o sporcie przecież ktoś, kto własną niezmqconą wiarę w sens słowa, przeniósł odważnie na stadiony prawdy.

Spis treści

Słowo wstępne (Krzysztof Zuchora)	6
Defilada atletów	9
Oddech	10
Match footballowy	11
100 m	12
Paddock i Porritt	13
Skok o tyczce	14
Fanfara na cześć Karola Hoffa	15
Erminio Spalla	17
Panie na start	18
Nurmi	19
Spartanin	20
Dyskobol	22
Bieg na przelaj	23
Pieśń o Amundsenie	24
Gaj Akademos	27
Champion of poetry (Krzysztof Zuchora)	28